

WIKTOR
HAJDENRAJCH

SĄSIAD
TO WAŻNE
SŁOWO

Tom II

Koszelewo-Chełmno-Elbląg. Na wirażu dziejów.

WIKTOR
HAJDENRAJCH

SĄSIAD
TO WAŻNE
SŁOWO

Tom II

Koszelewo-Chełmno-Elbląg. Na wirażu dziejów.

Wydawnictwo Horyzont Idei
Toruń, 2022



SĄSIAD TO WAŻNE SŁOWO

TOM II

Słowo wstępu od Autora	...7
Interludium	...11
Powołanie	...23
Straszny wrzesień, 1939 r.	...65
<i>List Pawła do Anny</i>	...77
Okupacja sowiecka	...81
<i>Drugi list Pawła do Anny</i>	...91
<i>List Anny do Pawła</i>	...95
Wojna Sowieców z Niemcami	...99
„Wyzwolenie”, 1944 r.	...167
Koszelewo, Chełmno, Elbing – Elbląg	...237

Słowo wstępu od Autora

Wojenne losy Anny to już zupełna niewiadoma. Pewne jest tylko to, że gdy w Jałcie, w akcie jawnej zdrady, oddano Polskę w pacht Stalinowi, nikomu z domniemych sojuszników z tego powodu nie zadrżała nawet powieka. Nowogródek z okolicami został wcielony do ZSRR. Oznaczało to tyle, że oni, Polacy, musieli stamtąd wyjechać. Eufemizm! Zostali stamtąd brutalnie wyrzuceni na zasadzie bezwzględnego ultimatum: „Albo przyjmujecie obywatelstwo białoruskie, albo won do tej waszej Polski!”. Między 1939 a 1945 rokiem, pojawia się wielka czarna dziura, którą niesłychanie trudno jest dziś zasypać... Ale od czego jest wyobraźnia?

Ten świat, szarpany raz w jedną, raz w drugą stronę, jaki był? Dokąd poszedł? Co stało się z tą społecznością, o którą Paweł z Anną tak walczyli? Czy przetrzymała najtrudniejszą próbę, wojny, tego strasznego potwora, pożerającego wszystkich poza elitą najbogatszych, czy najbardziej ustosunkowanych? Kim stali się ci, o których Paweł mówił: „Sąsiad to ważne słowo!”, a Anna dodawała: „Kto wie, czy nie najważniejsze?”.

To opowieść o przestrzeni, której już nie ma, którą mogłem poznać tylko ze strzępów dawno słyszanych historii i z lektury. Stanowi ona dalszy ciąg historii przedstawionej w książkach *Elbing-Elbląg. Na zakręcie historii* oraz jej kontynuacji, przedstawiającej odrębną, choć powiązaną historię, dyptyk *Sąsiad to ważne słowo*. Wierzę, że

jak wcześniej, tak i tutaj, prawda znów splecie się z dozą wyobraźni, w równie pysznościowy bigos, w którym między gładką i mięciutką kapustką – fikcją – pojawią się smakowite kąski – fakty (a może na odwrót?).

Bohaterowie tej książki są zwykłymi, acz niezwykłymi ludźmi, dzięki którym tamten kresowy świat zwyczajnie żył, ale bez nich, bez ich pracy, bez ich uporczywej, ciągłej walki o codzienność, o przetrwanie roku, kolejnego i dalszego, nie istniałby ten nasz dzisiejszy świat, który doskonale poradziłby sobie bez wielu innych ludzi, w oczach opinii publicznej kreujących się na jednostki niezbędne dla życia Polski. Tej Polski, jaką by ona nie była.

Z założenia ta opowieść jest hołdem złożonym wspaniałym, zwykłym ludziom tamtych czasów. Prawdziwym ludziom, z krwi i kości, żadnym tam ideałom! Chociaż oni, w swoim mniemaniu, byli zwykłymi ludźmi, to dla mnie byli kimś, do kogo czuję największy szacunek i podziw. A że ich losy, w końcu, w akcie desperacji, musiałem wykreować, oscylując między historyczną prawdą, a wyobraźnią literacką? „To nic, że skłamane, ważne, że ładnie opowiedziane!”...

Zawsze chciałem Im podziękować. Nie miałem okazji. Odeszli, gdy albo mnie jeszcze nie było, albo już byłem, ale za młody, by zrozumieć, jak byli ważni dla obecnego świata... Ta książka to moje podziękowanie.

Dziękuję

Wiktor Hajdenrajch

Interludium

DUŻY POKÓJ, wzdłuż wszystkich ścian zastawiony starymi, odzyskanymi, poniemieckimi meblami, zmieścił w sobie również wielką, dwu, a może nawet trzyosobową, wersalkę. Kupiona za jakieś śmieszne pieniądze na wyprzedaży, ciężka i niewygodna w obsłudze, z trudem wstawiona przez stare, szerokie drzwi do środka, na swój sposób pasowała do całości pomieszczenia, była nieforemna, zagracała spory kąt w pokoju, ale miała tę zaletę, że leżąca na niej Babcia nareszcie przestała narzekać na chroniczne bóle pleców niemożliwe do zneutralizowania lekami, częstymi masażami i nacieraniem obrzydliwie słodko cuchnącym spirytusem salicylowym. Po drugim, bardzo silnym udarze, po wielu tygodniach, gdy nie mogła się zdecydować czy pozostać po tej stronie, czy może iść już tam, skąd nikt jeszcze nie wrócił, w dwa dni po przywiezieniu Jej ze szpitala, skąd ordynator, gdy poinformował Mamę o bezcelowości dalszej hospitalizacji, absolutnie przekonany o tym, że tu już nic się nie da zrobić, wypisał ją do domu, w końcu podjęła decyzję. Nagle świat wywrócił się na nice: w domu pojawiła się Babcia – nie babcia, leżący, nieprzytomny człowiek, wymagający stałej opieki, której ani Mama, ani Ojciec nie mogli Jej zapewnić, pracowali. Pojawiły się jakieś dziewczyny do opieki: najpierw długonoga Filomena, piękna, wysoka brunetka z wielkimi, foremnymi piersiami (Starszy wielokrotnie podglądał ją przez uchylone drzwi, jak w samych majtkach paradowała po pokoju, oglądając się

z wyraźnie widoczną przyjemnością ze wszystkich stron w lustrze, wbudowanym w środek wielkiej szafy), która Babcię nazywała: „Ta stara, która i tak zdechnie”, i którą przyłapał, jak podkradała i wynosiła drobne przedmioty. Ojciec wyrzucił ją w ciągu pięciu minut. Szkoda mu było Filomeny – czemu była taka głupia? Zostało mu tylko wspomnienie jej długich nóg. Mieli cichy układ, on nigdy nie powiedział rodzicom, że Filomenę odwiedzali różni faceci, i wtedy on oddawał im na dwadzieścia minut swój pokój, a w zamian ona była mniej dyskretna, niż w rzeczywistości powinna – pod nieobecność rodziców przebierała się przy otwartych drzwiach, długo celebrując wciąganie na siebie bielizny i chwilę później, gdy wychodziła z łazienki, zostawiała po sobie, wbrew zaleceniom Mamy, niedyskretne ślady. On biegł wtedy, zamykał się od wewnątrz, miał kilka minut tylko dla siebie, ona zaś pukała mówiąc, że musi pilnie wejść. Po jej wyjściu znikwały wiszące na sznurku nad wanną pończochy i majtki...

Potem pojawiła się Eliza, która całymi dniami wisiała albo na telefonie, nabijając kosmiczne rachunki, albo przed lustrem, permanentnie poprawiając maminymi kosmetykami defekty urody. Mama, gdy któregoś dnia wcześniej wróciła z pracy i zobaczyła, że Babcia leży na tapczanie cała we własnych odchodach, w końcu się wściekła, potrąciła jej z wypłaty za rozmowy i z krótkim rozkazem: „Proszę się spakować i natychmiast się wynosić!” – otworzyła drzwi na klatkę. Z Elizą nie miał żadnych cichych układów, zresztą ona była brzydka i dziwnie pachniała.

W końcu w domu zjawiała się Aśka, mieszkająca przy Placu Wolności jakieś trzysta metrów dalej, która Babcię zajmowała się z czułością i oddaniem, ale nienauczona porządku w ciągu kilku godzin potrafiła całe mieszkanie doprowadzić do stanu chlewu w Koszelewie. Nie, w chlewie było czystiej. Mama szybko zrozumiała, że Aśka, która nie skończyła nawet szkoły podstawowej i była sierotą społeczną, sama wymagała pewnej troski i po dwóch miesiącach systematycznego, starannego tłumaczenia, nauczyła ją, że śmieci wyrzuca się do kubła, a nie pod stół i dywan, że talerze i garnki się zmywa, a nie wynosi do spiżarni brudne, że zużytych podpasiek nie zostawia się na brzegu wanny czy na pralce, że po domu nie chodzi się w białźnie bez haleczki, szczególnie gdy mieszkają tam

dwaj dorastający synowie i że po każdym skorzystaniu z łazienki należy spuszczać wodę. Cierpliwość i takt Mamy dały efekt, Aśka zaczęła dbać o otoczenie, w domu nareszcie zrobiło się normalnie.

Babcia zaakceptowała Aśkę. Ani Filomenie, ani Elizie nie pozwalała przy sobie cokolwiek zrobić, z wyjątkiem wymiany pieluchy, ale Aśce pozwalała się myć, czesać, Aśka nakładała Jej na twarz i ręce krem, co zawsze powodowało u Babci lekkie rozluźnienie przykurczy rąk, Aśka robiła Babci makijaż, delikatny, i zawsze zaklinała się, że w czasie zabiegów upiększających ona się uśmiecha. Któregoś dnia Mama wróciła z pracy i zastała Babcię w pozycji półleżącej, ubraną w najlepszą garsonkę, starannie umalowaną i uczesaną, pachnącą perfumami „Być może”, z wielką mokrą plamą na spódnicy. Nagabnięta na tę okoliczność, w ostrych, kaprałskich słowach, Aśka powiedziała, że starszej pani ubieranie w ten sposób sprawiało przyjemność, zaś na ofuknięcie, że wygląda teraz, jakby ją mieli położyć do trumny, Aśka rozplakała się i wybiegła z pokoju, ale po chwili wróciła i już we dwie z Mamą przebrały Babcię w nową koszulę nocną.

- Asiu, spódnica, ta od garsonki natychmiast musi iść do pralni. Nie można tak. Przecież widzisz, co się stało!
- Ale proszę pani, starsza pani była taka szczęśliwa, gdy ją przebierałam! Żeby pani widziała, jak bardzo starała się uśmiechnąć, wydawało mi się, że stara mi się pomóc jak ją myłam, ubierałam. Przecież starsza pani też chce ładnie wyglądać, co nie?

Wzruszona Mama już nie dyskutowała, poprosiła Aśkę tylko, żeby trochę staranniej zabezpieczała Babcię, bo szkoda ubrań, na co Aśka naraz chwyciła spódnicę i wybiegła z domu. Wróciła po piętnastu minutach, wręczając Mamie kwit z pralni, tej przy 1000-lecia, spódnica miała być wyprana na pojutrze.

Następnego dnia Babcia wróciła do świata żywych. Pierwszy zauważył to Piotr, który wszedł do pokoju, by jak zwykle się z nią pożegnać, pocałował ją w czoło i nagle usłyszał: „Pić!”.

- Chcesz pić, Babciu? – zapytał, kompletnie zaskoczony.
- Tak, pić – powiedziała z trudnością – bardzo...

- Już biegnę, coś załatwimy! Aśka, Babcia chce pić!
- Skąd wiesz? – Aśka energicznie wpadła do pokoju.
- Powiedziała mi.
- Nie cyganisz?
- Nie – oboje usłyszeli cichy głos dobiegający z tapczanu – pić, herbatę...
- Już biegnę, pani Aniu – radośnie krzyknęła Aśka, ocierając łzy. – Zaraz zrobię, taką słodką jak pani lubi.
- Miła z niej dziewczyna – powiedziała ciężko, co każde słowo biorąc oddech. – A jak tam z Ewunią? – z trudem wydusiła z siebie ostatnie słowo w akompaniamencie dolatujących z kuchni uderzeń wody o dno czajnika, terkotania zapalniczki do gazu, strzelania czajnikiem o kuchenkę i radosnego podśpiewywania Aśki, wielkiej miłośniczki zespołu „Skaldowie” (któryś z jej znajomych powiedział, że mocno przypomina Andrzeja Zielińskiego, co uznała za wielki komplement), która teraz, na cały głos, okrutnie fałszując, wyła: „Cała jesteś w skowronkach...”.
- Babciu, ty pamiętasz Ewę?
- Pamiętam. Taka śliczna dziewczynka, w szpitalu, pielęgniarka – mówiła jakby nieco lepiej, ale słyszał, że bardzo stara się dobierać właściwe słowa.
- Przecież nie możesz pamiętać!
- Pa-miętam... – Nagle jakby się zachwiała, jakby przestraszyła się, że jej powrót przebiega zbyt szybko. Wyrzuciła z siebie to jedno słowo, z przerwą po pierwszej sylabie i na chwilę zamilkła. Wyraźnie zbierała siły. Po chwili mówiła dalej, znacznie już wolniej, dzieląc każde słowo – Mia-ła takie... zgra-bne nóżki. Tak ładnie wyglądały w tych jas-nych poń-czoszkach. Ogląda-łeś się prze-cież za nią... – przypawiła go o rumieniec, ale postanowił nie zaprzeczać, najlepiej przemilczeć. Ona po chwili, po kilku nerwowych oddechach, gdy zebrała trochę sił, rzuciła:

- I co, wy-szło coś z te-go?
- I tak, i nie...
- Nie chciał Jej opowiadać o tym, że byli przez chwilę parą, że wszyscy kumple zazdrościli mu takiej dziewczyny, nie wyobrażał sobie, że powie Jej, że ten jego pierwszy raz właśnie miał miejsce z nią, i że gdy nagle musiała wyjechać...
- Nie mów jak nie chcesz! – Zamrugła kilkukrotnie powiekami. – Pio-truś, pić!
- Zaraz zobaczę, czy Aśka zrobiła...
- Aśka zrobiła, już niesie pani Aniu! – Dobiegł ich radosny, szczebioczący głos. – A ta Ewa, pani Aniu, zawróciła mu w głowie, ale jak! To już tyle miesięcy, rok prawie, a on nic tylko Ewa, Ewa, Ewa! Śliczna była, mówię pani, taka laska, znałam ją, musieli razem ładnie wyglądać, tylko że nagle wzięła i wyjechała. Do Niemiec wyjechała. Nikt nie wie, on sam też, ile dni przez nią przeplakał w poduszkę. No co, co? Przecież prawdę mówię, co nie? Sam mówiłeś! – Uciekła przed nim na drugi koniec stołu, odstawiwszy wcześniej kubek z herbatą na komódkę przy tapczanie. Gdyby tego nie zrobiła, pewnie by ją rozszarpał na strzępy.

Fakt, mówiła prawdę. Ale on z nikim nie chciał o tym rozmawiać. Nawet z Babcią. Po kilku próbach bezskutecznego złapania Aśki, dał sobie wreszcie spokój, poszedł do siebie, spakował kilka książek i przed wyjściem do szkoły zajął jeszcze raz do Babci. Uśmiechnięta Aśka ułożyła Ją w pozycji półleżącej, opartą o poduszkę, i ostrożnie podawała Jej łyżeczką przestudzoną już herbatę, którą piła z przyjemnością. Rzucił tylko w drzwiach:

- Do widzenia, Babciu! Chciałbym cię o coś zapytać. Nie daję mi to spokoju! Ale nie dziś, może w sobotę, nie idę do szkoły, będzie więcej czasu, to może wtedy?
- Jak będę umiała, to odpowiem! – powiedziała nadspodziewanie sprawnie, lekko tylko rozmywając końcówki wyrazów.
- A ciebie jeszcze dopadnę, jędz! I nigdy ci już nic więcej nie powiem! – Strzelił palcem w kierunku Aśki. – Fałszujesz

i becysz jak koza! „Caaałaa jezdeż wewskfronykach” – zaciągnął tak fałszywie, że aż Babcia zatkała uszy rękoma, jednocześnie próbując nimi machać, dając mu sygnał, by wreszcie wyszedł. – „Śipiewyajom tewoje wyłosy” – wył na całe gardło zakładając buty w swoim pokoju i słysząc, jak w jego kierunku leci wielka, nabita na twardo poduszka, zgrabnie się uchylił. – „Śipiewa twyoja sukięka” – pociągnął jeszcze stojąc w głębi korytarza przed drzwiami wyjściowymi. Wtem, przy akompaniamencie matowego, ciężkiego śmiechu Babci, w ostatniej chwili uchylił się przed lecącym w jego stronę kapciem Aśki.

Zamykając drzwi, przystanął. Dotarło do niego, w jak szybkim tempie Babcia wraca do rzeczywistości, gdyż po kilku jeszcze łyżeczkach herbaty zażądała, by Aśka napoiła ją z kubka, a chwilę później usłyszał jak Babcia mówi:

- A teraz, Asiu, pomożesz starej kobiecie wstać i pójść do toalety... Jak to nie wolno? Oczywiście, że wolno, nie mam ochoty iść na tamten świat z pełnym pęcherzem. No, Asia, dawaj ten szlafrok i podaj mi ramię, wstanę, na pewno wstanę, dam radę i zrobię te cholerne kilka kroków... aj... Nic się nie stało, ale pomóż mi się podnieść... No, widzisz, stoję przecież, sama, trzymam się tylko oparcia krzesła. Teraz pierwszy krok, drugi, powoli. Teraz trzeci i oprzeć się o ścianę. Nie, jeszcze wrócę do łóżka, Asiu wolniej, wolniej kochanie, prawa noga mi prawie nie działa, ale ja ją rozruszam, o... jak dobrze – usłyszał jeszcze jęk sprężyn tapczanu i pobiegł do szkoły, widząc w bramie przy ulicy 1-ego maja, czekającego na niego Jerzego.

[***]

- Synku, wstawaj! – Mama mocno potrząsnęła za ramię śpiącego Starszego, gdy akurat mocniej otulał się kołdrą, było zimno, palić przestali w marcu. – Jacyś, chyba Niemcy, stoją przed drzwiami, czegoś chcą. Chodź, przetłumaczysz!
- Niemcy? – wymamrotał nieprzytomnie. – Mamo, jest sobota, nie ma jeszcze ósmej, nie mam szkoły, spać mi się chce. Niech sobie przyjdą kiedy indziej!

- Wstawaj! – Potrząsnęła nim jeszcze energiczniej. – Nie wolno tak trzymać ludzi na klatce. Chodź, poćwiczysz niemiecki. No chodź, synku!
- Mamo! Przecież Babcia znacznie lepiej sobie poradzi. Ja niewiele umiem...
- Babcia prawie całą noc nie spała...
- Co z Babcią? – Nagle skoczył na równe nogi, jakby oblała go kubkiem zimnej wody. – Wszystko w porządku?
- Już tak, wzięła w końcu tabletkę i śpi. Ale znowu się bałam, synku...

Przez głowę przewaliło mu się kłębowisko myśli, ale chłód pokoju natychmiast je uporządkował i na wierzch wywołał najważniejszą: Babcia ledwo jeszcze chodzi, więc zupełnie niestosownym jest proponowanie, by go w czymkolwiek zastąpiła. Nawet w tłumaczeniu z niemieckiego, gdzie ciągle czuł się przy niej jak taki maleńki, maciupci gówniarz, słuchając stale: „Nie, lepiej jest to powiedzieć tak!”, „Nie, to niedokładnie to oznacza!”, „Tak można, ale grzeczniej (bardziej energicznie, prościej, prymitywniej) jest to powiedzieć tak!”, „Nie ten rodzajnik, synku!”, „Nie, tutaj odmieniasz przymiotnik bez rodzajnika!”, „Oj, jaka fatalna mowa zależna! Strona bier-na, synku, to istota, kwintesencja języka niemieckiego, to nie język polski! (...)”, co wielokrotnie budziło w nim chęć rzucenia książką o ziemię i dania sobie spokoju z uczeniem się tego języka, którego przecież i tak nigdy nie opanuje w wystarczającym stopniu. Nie, dziś musi ją w tym zastąpić, ona musi leżeć w łóżku. Lekarz, którego zaprosili na wizytę w domu powiedział, że stał się cud i ten cud się cały czas rozwija, ale pani Anna musi bardzo dużo wypoczywać.

- Pomożesz? – Pozwolił ściągnąć z siebie kołdrę, ale jeszcze przez chwilę chciał się z nią podroczyć, więc zaczął naciągać ją na gołe stopy. – Proszę, synku! – Użyła tego słowa, bo wiedziała, że dzięki niemu złamie jego opór, choć nie wiedziała, że tego oporu już nie było.
- No dobra! Mamo... ale ja nie wiem czy dam radę.
- Babcia mówiła...

- Babcia przesadza.
- Matka nigdy nie przesadza! Zawsze starannie waży słowa w ocenach!

Po całodzienniej kołomyi z pobytem tych Niemców, Annelore Heike i Hansa Jürgena (bo oczywiście obowiązek tłumaczenia spadł na niego, Babcia czasem tylko coś poprawiła, skorygowała); gdy już Młodszy wyprawił ich na pociąg do Malborka, pojechali taksówką spod domu (bo ciągle padał nieźnośny, majowy, zimny deszcz); gdy obaj z ojcem załatali kawałkiem płyty pilśniowej dziurę w podłodze w ich pokoju, w której ci Niemcy ukryli w 1945 roku pamiętnik i jakieś drobiazgi; i gdy w końcu oszołomieni tym wydarzeniem, jak z innego eonu, zbierali i porządkowali wrażenia w swoich pokojach, Starszy poszedł do Babci. Zastał ją w pozycji półleżącej, czytającą pamiętnik pozostawiony przez Annelore Heike, ostrożnie przerzucającą poźółkłe kartki, wypełnione starannym, niemieckim pismem – szwabachą.

- Babciu, rozumiesz coś z dzisiejszego dnia?
- Na razie niewiele, synku, ale tu potrzeba czasu. Trzeba całą tę sytuację oswoić na tyle żeby przestać o niej myśleć emocjonalnie, a wyłącznie na chłodno, używając rozumu. Na razie zbyt wiele złych wspomnień się odezwało, zbyt wiele zapomnianych już, złych i bardzo złych rzeczy, znów wyszło na światło dzienne, nie wiem, czy ja dziś zasnę...
- Zaczęłaś czytać ten *Tagebuch*?¹
- Zaczęłam. Na razie pisze dziełatka, taka zafascynowana światem i możliwościami, które on daje. Ale zobaczymy, jak to się rozwinie.
- Babciu, muszę cię o coś zapytać! – Po chwili milczenia w końcu się odważył.
- No to pytaj – powiedziała spokojnie, ale łapczywie zaciągnęła się papierosem, którego natychmiast odłożyła do porcelanowej popielniczki w różyczki. – Jak będę umiała, to odpowiem!
- Babciu – czuł, jak mu wali serce, trochę się bał, bo nie wiedział,

¹ *Das Tagebuch* (niem.) – dziennik, pamiętnik.

na jaką *terre incognitę* się udaje – nigdy nie wspominasz Dziadka. Opowiadasz nam różne historie, ale nigdy nie ma w nich twojego męża. Chciałbym coś o nim wiedzieć, cokolwiek! Nawet jeśli był mordercą, złodziejem czy innym przestępcą! – mówił już zgrabniej, serce trochę się uspokoiło, ten najtrudniejszy krok, który od wielu dni próbował sobie jakoś wyobrazić, zwizualizować, nie wychodziło to, nie wiedział czemu, miał już za sobą. – Kim on był? Co się z nim stało? Czemu jest pochowany w Chełmnie? To tak daleko stąd! I co Ty, Mama i ciocia Aldona robicie właśnie w Elblągu? Czemu akurat tutaj?

Anna zastygła i wbiła wzrok w jedno miejsce na przeciwległej ścianie. Machinalnie zsunęła okrągłe, sztyldkretowe okulary i położyła je na komódce, a stamtąd równie machinalnie wyłuskała, z otwartej paczki damskich, kolejnego papierosa, wsunęła go sobie do ust, zapaliła zapalką i mocno, chciwie zaciągnęła się dymem.

- Czemu nie mówiłam? Synku, to potwornie boli, do dziś. Upłynęło (tu usłyszał, jak półgłosem liczy: einundzwanzig, zweiund...²) dwadzieścia pięć lat, jak Paweł, twój Dziadek – dodała szybko – nie żyje, a ja nie umiem... – Nagłym, wściekłym ruchem zrzuciła okulary, które na szczęście upadły na kołdrę, wyciągnęła spod poduszki chusteczkę, przyłożyła do twarzy, zauważył dwa mokre ślady. – Synku, zostaw mnie na chwilę samą – poprosiła. Starszy wyraźnie usłyszał, jak lka. – Na chwilę...
- Paweł, twój Dziadek był – zaczęła, gdy po kilkunastu minutach zaprosiła go do pokoju, ale zawiesiła głos. – Nie, to za mało, był... – znowu przerwała, pociągnęła chciwie papierosa, wypuściła kłąb dymu do góry, na obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, który na chwilę zniknął pod jego siną kołderką. – Był... nie, tak nie mogę. Pawła nie da się, ot tak, określić jednym słowem. Jesteś gotów na długą opowieść?
- Dłuższą, niż ten pamiętnik? – Pokazał na leżący na komódce brulion oprawiony w skórę, z wytłoczoną na okładce wielką swastyką.

² *Einundzwanzig, zweiund...* (niem.) – dwadzieścia jeden, dwadzie...

– Anna nie potrafiła liczyć po polsku.

- Nie wiem. Zobaczymy. Ale pamiętaj też, że masz ten pamiętnik do przeczytania, a ja ci w tym nie pomogę.
- Czemu? – zapytał bardzo zdziwiony, nigdy nie odmawiała pomocy przy tłumaczeniach.
- Bo bardzo bym chciała, żebyś przeszedł przezeń sam. Wtedy jest szansa, że zapadnie ci on na trwałe w pamięć. Pamiętasz, co mówiłam pani Annelore Heike?
- Sporo mówiłaś!
- A to pamiętasz? – Przymknęła nieco oczy i zaczęła recytować po niemiecku: „Pomyślałam sobie, że dwie osoby powinny to przeczytać: ja i mój starszy wnuk. Ja, bo mnie Pambóg takie prawo nadał w ramach rekompensaty za to, że na sześć lat zapadł w drzemkę, on – bo chciałabym, by wiedział, jak potrafi wyglądać świat, gdy Pambóg na sześć lat w taką drzemkę zapada. Jeśli on to zrozumie, jeśli twój pamiętnik dotrze do niego, ale tak na sam spód, do fundamentu, będzie szansa, że nasze dorosłe życie w czasie wojny nie było straconym, że nasi najbliżsi, którzy zginęli, nie umarli na darmo, że taki ogrom cierpienia i draństwa, jaki przetoczył się przez Europę, być może nigdy się już nie powtórzy. A tak już zupełnie na marginesie – nie masz wrażenia, że ten pamiętnik tak naprawdę należy właśnie do nich, do naszych wnuków?”.³
- Tak, pamiętam.
- Czyli rozumiesz, że to wyklucza moją pomoc?
- Nie, z tego wcale to nie wynika!
- Ale ja twierdzę, że tak jest i kropka. Schluss. Verstanden?⁴
- Zdziwiony Starszy popatrzył na nią tak, jakby zobaczył ją pierwszy raz w życiu.
- Skoro tak ma być, dobrze – powiedział i zdziwiony i rozczarowany – ale co z opowieścią o dziadku, o was? To też mam sobie sam opowiedzieć?

³ *Elbing-Elbląg. Na zakręcie historii*, str. 76.

⁴ (niem.) Koniec. Zrozumiano?

- Czy ja coś takiego powiedziałam?
- Nie, ale skoro...
- Nie ma „skoro”. Zaczniemy w takim razie – lekko krzywiąc się z bólu poprawiła się na poduszce, którą Starszy, na Jej wyraźną prośbę, nieco podniósł – od września 1939 roku. Nie, jeszcze wcześniej, od lipca 1939 roku, od momentu, gdy odeszła od nas nasza przyszywana ciocia, Haponiukowa, gdy musieliśmy szukać kogoś do pomocy w gospodarstwie, a Pawła...

O mój Boże, sama już się płaczę w tym, co było prawdą, a co nie! – Myślała, zbierając w głowie fakty do snucia powieści. – A najgorsze jest to, że ten poplątany świat zaczyna mi się coraz bardziej podobać. Nic się chyba nie stanie, jeśli trochę pozmyślam, odrobinę poprzenoszę nas i nasz czas między na wskroś realną Lidą, a Koszelewem, którego... nie było? A może? Ten czas upłynął, tamci ludzie już nie żyją, tamte realia zasypał popiół niepamięci. A że trochę to wszystko inaczej będzie wyglądać jak w rzeczywistości? A kogo to tak naprawdę interesuje, poza mną, no może jeszcze Zosią, Aldonką czy Helą, o której nawet nie wiem, czy żyje? Ale w 1939 roku Zosia miała dziesięć lat, Aldonka piętnaście, Helusia trzynaście, były jeszcze de facto dziećmi, którym my, dorośli, mieliśmy obowiązek zapewnić bezpieczeństwo i jakoś to zrobiliśmy. Myślę, że napięcie, jakie panowało, ta niepewność jutra, to oczekiwanie na Pawła, codzienne, nużące i wysysające nadzieję z serca, zatarły w ich umysłach rzeczywistość na tyle, że mogą sobie pozwolić na fantazjowanie, oczywiście wyłącznie w ramach, które sama już sobie narzuciłam. Paradoksalnie sam fakt, że w 1939 roku Aldonka i Helusia znalazły schronienie w Kuścinie, u cioci Józki, a my we dwie z Zosią w Marulinach, u cioci Mieci, jakoś przybliżyła te moje projekcje do rzeczywistości, czyni je wysoce realnymi, bo przecież ona, między obie wsie, wstawiła tylko trzecią, Koszelewo. Nic to wielkiego, niech Piotr posłucha mojej opowieści, niech później, gdy już będzie dorosły, sam spróbuje to rozplątać, wyłuskać to, co było prawdą od tego, co mi się zmyśliło. Nawet, jeśli dojdzie do wniosku, że jego ukochana Babcia nawstawiała brzydkiego kitu – jak to oni teraz mówią – myślę, że mi wybaczy, bo przecież nieważne, że

skłamane, ważne, że ładnie opowiedziane. Muszę tylko trzymać się faktów wszędzie tam, gdzie on mógłby źle, opacznie zrozumieć nas i tamte czasy, a nie będzie to, wbrew pozorom, trudne.

Powołanie

- Pan Paweł, telegram do pana! – Siedzący na welocypedzie listonosz w mundurze i w czapce rogatywce, trzymanym w ręku kawałkiem papieru, pomachał idącemu w kierunku młyna Pawłowi
- A ty nie mógł oddać tego Annu? – Paweł zatrzymał się przy kamieniu Chrystusowym, gdzie kiedyś (kiedy to już było, siedem lat, osiem?) zastał siedzącą Annę, trzymającą na kolanach przerażoną i zupełnie splątaną Loretę.
- Nie mogłem. To wojskowy telegram, do rąk własnych! – powiedział z dumą listonosz i zeskoczył zgrabnie z roweru. – Zresztą pani Anny nie widziałem.
- A tać była koło domu, uczyła tu nowu dziewczyny jak karmić żywiółę, bo młoda ona jeszcze i niewiele potrafi, ale uczy się szybko i chętnie, dziecko.
- Nie widziałem. Ale proszę mi tu podpisać. – Pokazał rubrykę na kawałku kartki. – O, dziękuję – powiedział, widząc jak Paweł sprawnie stawia literę po literze, wypełniając całą kratkę. – Dziękuję – powtórzył, starannie składając papier we dwoje i pakując go do swojej wielkiej, skórzanej torby. – A oto telegram dla pana. Do widzenia! – Zasalutował i pojechał.

Paweł przysiadł na kamieniu, rozkleił złożony we czworo kawałek papieru i ze zdumieniem odczytał: „Zobowiązuje się chorążego

w stanie spoczynku, Pawła Sienkiewicza s. Ignacego, do natychmiastowego, w terminie trzech dni od daty otrzymania niniejszego telegramu, stawienia się wszelkimi sposobami w 77 Kowieńskim Pułku Piechoty w Lidzie, Koszary im. Rydza-Śmigłego, w celu mobilizacyjnym. Niestawiennictwo traktowane będzie jako dezercja, za co grozi kara dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności lub kara śmierci. Podpisano: Dowódca 77 Kowieńskiego Pułku Piechoty ppłk dypl. piech. Wiktor Majewski”. Przeczytał to jeszcze raz, i jeszcze raz. Wtedy przypomniał sobie, że taki rodzaj mobilizacji, przez ściągnięcie najpierw wszystkich żołnierzy – emerytów, ale nieprzekraczających pięćdziesiątego roku życia, ogłasza się wtedy, gdy zagrożenie zewnętrzne jest już bardzo wysokie, ale jeszcze nie krytyczne.

- Nu tak – mruknął do siebie. – I w ten sposób mamy kolejną wojnę. Ale ja już się nawojowałem, czego chcę od takiego starego żołdaka, jak ja?

Wstał z kamienia, syknął z bólu, aż pociemniało mu w oczach. Dawały o sobie znać wszystkie lata w polu, nocne chłody, brodzenie w zimnej wodzie. Kolana coraz częściej i coraz mocniej bolały. Podrapał się po gładko ogolonej głowie, nasunął na oczy czapkę, odgrodził się w ten sposób od palącego słońca i westchnąwszy ruszył do domu. Anna z Kasią, nową pomocą domową, robiły coś na podwórku.

- Telegram ja dostałem – powiedział, wchodząc i starannie zamykając bramkę – z mojego pułku.
- Czego chcę? – nieufnie i z wyraźną niechęcią zapytała Anna.
- Mobilizacja! – westchnął i pokazał jej papier.
- No, tylko tego nam jeszcze brakowało! – Anna aż przysiadła na niedawno zrobionej ławeczce, opartej o przybudówkę sieni. – Oczywiście nie pojedziesz?
- Nu jak tak, mileńka, pod pluton egzekucyjny mam się sam postawić?
- Ej tam, tak tylko straszą!
- Straszu nie strasz, ja jestem żołnierz, jak rozkazali – ja muszę wykonać. Pewnie jakieś im papiery się nie zgadzają, szybko

poprawiu i ja rach–ciach będę doma.

- Może? Kiedy ruszasz?
- Zaraz.
- Nie ma potrzeby. Masz z Nowojelni pociąg wieczorem, około za dwadzieścia ósma, w Lidzie będziesz za dwadzieścia dziewiąta. Wystarczy, jak wyjedziesz tym z Zaroju za dwadzieścia siódma, złapiesz ten w Nowojelni i pewnie jutro będziesz z powrotem.
- Mundur ja muszu naszykować!
- Masz wyczyszczony, odprasowany, buty niedawno Haponiukowa jeszcze wyglansowała na błysk, możesz spokojnie spędzić z nami całe południe.
- A mój pistolet?
- Schowany tam gdzie zwykle! – Pokazała oczami na Kasię, a Paweł szybko zrozumiał, że powiedział o dwa słowa za dużo. – Ale o ile pamiętam, czyściłeś go jakieś dwa, trzy tygodnie temu.
- Nu tak, broń musi być zawsze galanto, czysta.

W Lidzie był rzeczywiście około 21.00. Wychodząc z pociągu obciągnął mundur, poprawił broń, obejrzał się w wielkim lustrze, wiszącym na jednej z kolumn, podtrzymujących wiatę na peronie. Wyglądał tak, jak żołnierz powinien wyglądać. Tylko ta twarz, zdradzająca nie pierwszą już młodość... Po drodze do koszar, którą przecież tyle razy pokonywał, dwukrotnie zatrzymywał go patrol żandarmerii, dwukrotnie legitymował, ale i on dwukrotnie zbeształ młodych żołnierzy, że zatrzymują go nieprzepisowo, że mają niewłaściwie wyczyszczone buty, że jednemu z nich czapka niezgodnie z regulaminem, spadła na lewe ucho. Na biurze przepustek pokazał telegram oficerowi dyżurnemu:

- Ale, panie chorąży, w sztabie obecnie nikogo nie ma.
- Nu, ja tu mam napisane, czarne na białym, że mam się zjawić natychmiast! Nu, to i ja jestem. Proszę zawiadomić dowódcę.
- Teraz? O dziewiątej wieczorem? Żartujecie, chorąży!
- U mnie niet ochoty na fiu–bǫdziu, panie poruczniku, i proszę do

mnie się zwracać regulaminowo: „panie chorąży!” Proszu pana, panie poruczniku, by pan natychmiast powiadomił dowódcę.

- Dowódca nie ma, będzie rano. A teraz proszę odejść, proszę się nie awanturować.

Paweł zrozumiał, że nic nie wskóra. Młody oficer, świeżo awansowany prędkiej sobie w łeb strzeli, jak zakłóci popołudniowy spokój podpułkownika dyplomowanego ze starszeństwem, więc odszedł od okienka biura i wtedy wpadł na pomysł:

- Proszu połączyć mnie z kapitanem Kuścickim – rzucił do dyżurnego – Lida 711!
- Mogę? – zapytał niepewnie oficera dyżurnego równie młody żołnierz.
- Zezwalam! – Telefon do kapitana, nawet ze starszeństwem, niczym nie groził.

Po chwili w słuchawce Paweł usłyszał znajomy głos:

- Kuścicki, słucham.
- Czołem Jerzy, to ja, Paweł.
- Paweł? A niech cię kule, brachu, biją! Co się stało? Czemu dzwonisz?
- Zostałem zmobilizowany.
- To niedobrze. Ale co z tego?
- Ja stoję, jak krowa, przy biurze przepustek i nie mogę wejść do jednostki. Taki młody pistolet kazał mi się wynosić.
- A, to Jurkołajć, świeży nabytek starego, wazeliniarz i dupowłaz. On ciebie nie wpuści. Ale czekaj, ja za chwilę zadzwonię do Starego, rozwiążemy. A jak już rozwiążemy – zapraszam cię na kolację i wódkę. Małą dziś, bo jutro pracy dużo, ale zawsze tę butelkę czystej Baczewskiego zrobimy.

Faktycznie. W ciągu dziesięciu minut pomocnik oficera dyżurnego wprowadził Pawła na teren jednostki, dał mu klucz do jednego z pokoi hotelowych, od ręki wypisał zaprowiantowanie i stałą przepustkę na teren jednostki.

- Ale dziś, panie chorąży – poinformował go, gdy wręczał mu wypełniony blankiet przepustki – w jednostce nic pan już nie zje. Polecam...
- Ja knajpy w Lidzie znaju lepiej od was, sierżancie. – Poklepał młodego podoficera po ramieniu. – Ja tu u siebie! – dodał, z pewnym rozrzewnieniem.
- Wiem, panie chorąży, był pan dowódcą mojego plutonu. Dawno to już było, ale my wszyscy spod pana ręki, zawsze z panem...
- Dobrze, dobrze! – Paweł dokładniej mu się przyjrzał i olśniło go. – Witwicki, to wy?
- Ja, panie chorąży!
- A to i na duszy lżej. No dobrze, macie teraz służbę, a służba nie druźba, ale zapraszam was kiedy na herbatku, a może i co więcej.

Kuścicki czekał w taksówce z wyłączonymi światłami, stojącej zaraz obok biura przepustek.

- Hej, Paweł! – krzyknął przez okienko, wystawiając tylko głowę. – Tutaj, czekam!
- Idu, idu – mruknął, pokazując wartownikowi świeżo wypisaną tekturkę. Gołowas wyprężył się w pozycji zasadniczej. – Zaraz wsiądu, nie nerwowo...

Trzasnęły drzwi opisane słowem: „Lida” i dumną cyfrą: „5”. Kierowca zapalił silnik i zapytał grzecznie:

- Dokąd, panowie oficerowie?
- Do Adrii! – zaordynował Kuścicki. – Tylko migiem, wódka stygnie.

Adria kipiała życiem. Pełna po brzegi od oficerów w galowych mundurach, w pasach z koalicyjkami i wystrojonych w wieczorowe suknie pań. Spowita mieszaniną zapachów doskonałych perfum i wszelakiego jadła, wydawała się przepełnionym okrętem, który, nie będąc z gutaperki, nie da już rady nikogo zmieścić i wszystkich pozostałych, rozczarowanych pasażerów, zostawi przy nabrzeżu. A jednak jakimś cudem znalazło się miejsce, szybko pojawił się

kelner, który z pomocą pikolaka rozstawił w dalekim kącie stół, przyniesli dwa krzesła, narzucili świeży, biały obrus, postawili wazonik z kwiatkami, rozłożyli sztućce, talerze i w końcu kelner, lekko zginając się w ukłonie, zapytał:

– Słucham szpana majora!

Paweł dopiero teraz zauważył, że Kuścicki awansował.

– Na początek Baczewski wytrawny, coś do popicia i wasze marynowane śledzie. Później – to się jeszcze zastanowimy.

Biesiadowali bardzo oszczędnie, sząc małymi łyżkami wspianą wódkę, która przyjechała tu aż ze Lwowa. Oszczędzał się Paweł, ale oszczędzał się i Kuścicki. Nawet zjedli mniej, niż zwykle. Widać było, że coś leży majorowi na wątrobie, bo nie kleiła się rozmowa, ot takie kilka zdawkowych pytań, słów, zdań. Gdy kończyli wyśmienitą pieczeń wołową z kluskami i buraczkami, nagle Kuścicki nie wytrzymał, złapał za butelkę, wlał sobie połowę szklanki, pytającym wzrokiem wskazał na naczynie Pawła, on pokręcił głową, więc wlał mu do kieliszka, przechylili razem, do dna. Kuścicki rzucił się na oparcie krzesła, rozpiął guzik pod szyją munduru, cisnął trzymanymi w ręku nożem i widelcem o talerz, aż nagle w rozbawionej i roześmianej sali zrobiło się cicho, w końcu czerwony na twarzy nachylił się i z wyrazem wściekłości w oczach, powiedział do Pawła:

– Czemu przyjechałeś?

– Tak jak ci mówił. – Paweł zachował absolutny spokój. – Mnie dowódca wezwał, to ja się i stawił.

– Stary nie miał prawa cię wezwać.

– Miał. Ja w takiej sytuacji mogu tylko: „ruki pa szwam”, i przyjechać.

– Nie! – Kuścicki wałnął pięścią w stół, aż znów zrobiło się cicho na sali. – Nie – powiedział już ciszej. – Prawo to on miał. Tylko po jaką cholere, psiakrew, ciebie wezwał? Przecież ta wojna już jest przegrana.

– Żadna wojna nie jest przegrana tak od razu, bez jednego strzału – powiedział cicho Paweł. – A ty, Jerzy, uważaj, tu co drugi

tylko czyha, żeby być majorem i na twoim miejscu – wyszeptał, widząc, jak niektórzy starają się za wszelką cenę podsłuchać, o czym rozmawiają.

- Wiesz Paweł, ja mam to w dupie. Ja myślałem, że ten niespodziewany awans, który dostałem, taki poza starszeństwem, to za jakiś tam porządek, którego całe lata pilnowałem. U mnie wszystko zawsze było na ostatni guzik związane, ile by kontroli nie było, wszystko się zgadzało, a nawet jeśli się nie zgadzało, to się zgadzało. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Wszystko. Mundury, konie, żarcie, obrok dla koni, węgiel, koks, paliwo, smary, wszystko. Ile ja łakomych kąsków przez ręce przepuściłem? Przecież gdybym puszczał to wszystko na lewo, to na samych ubytkach sucharów zarobiłbym przez te wszystkie lata tak z pięćdziesiąt, a może i więcej, tysięcy złotych. Jak to jest, że u intendentów zawsze były takie piękne wille, samochody, pieniądze na codzienne chłanie po takich Adriach, w towarzystwie takich kobiet. – Dyskretnie zatoczył głową niewielki krąg. – A u jednego Kuścickiego bieda aż piszczala? Bo nie kradłem! Pardonsik! Nie żyłem z naturalnych ubytków! Żyłem z tego, co płaciła mi ojczyzna, za którą poniosłem kilka ran, a ona dała mi to – podrzucił ręką wiszące miniaturki kilku orderów, w tym *Virtuti Militari* piątej klasy – ale tym się nie nakarmię. Alimenty zapłać, inaczej sekwestrator tylko czeka, spłacił długi z poprzedniego miesiąca, i po wynagrodzeniu. Co ja tego miałem? – czterysta złotych jako kapitan, plus siedemdziesiąt pięć złotych dodatku wyrównawczego, plus pięćdziesiąt złotych za pełnione stanowisko. Całe pięćset dwadzieścia pięć złotych. To przecież jest śmiech na sali! Podnieśli mnie do stopnia majora, dostałem czterysta dziewięćdziesiąt złotych, plus dziewięćdziesiąt pięć dodatku, plus sto złotych za pełnioną funkcję, razem sześćset osiemdziesiąt pięć złotych. Niby lepiej. Na kilka dodatkowych kolacyj w Adrii wystarczy. Ale, Paweł, ja przez swoje palce przepuszczałem dóbr wszelakich za trzy miliony złotych rocznie. Dasz wiarę? Trzy miliony! I co? I nic. Na niczym Kuścickiego nie złapali, Kuścicki, pijak i awanturnik, papiery, magazyn i kasę ma w porządku. Bo nie żyje z naturalnych ubytków. – Roześmiał się mocnym barytonem. – Za to zarabia tyle,

co kancelista w gminie. Ale nie to jest najgorsze! – powiedział i umilkł. Rozejrzał się dyskretnie po sali i przesiadł się tak, że siedzieli do siebie bokiem, mogli rozmawiać zdecydowanie ciszej. Przez chwilę sączyli lemoniadę z cytryn, którą przyniósł im pikolak w wielkim dzbanku, z pływającymi kostkami lodu, a potem znów zaczął: – Najgorsze jest to, że ja dziś nie mogę się z moim przyjacielem Pawłem porządnie, sumiennie uwalić „na biedronkę”, bo jutro mam raport u Starego. Wojnę będziemy na mapach rysować. I nie będą to ćwiczenia, nie, to już będzie rzeczywista sytuacja. Powiem ci Paweł, ta wojna stoi u bram, wybuchnie lada dzień. Ale to żołnierski fach, trzeba rysować na mapach, trzeba planować, trzeba walczyć, a nawet trzeba oddać życie, ja to rozumiem. Tylko, że walczyć nie będzie komu! Klęska wisi w powietrzu!

- Ciepłuchu pleciesz, Jerzy. – Paweł lekko tylko poczuł uderzenie wódki. – Nie wolno nam od razu myśleć, że nas pobiju. Bo wtedy zawsze przegramy. Jest jeszcze żołnierz, prosty, ale waleczny, który potrafi dokonać cudu. I my, dowódcy...
- Nie tym razem, Paweł! – gwałtownie przerwał mu Kuścicki, ponownie nalewając sobie wódki do szklanki, opalizującej w świetle, wstawionej do eleganckiego lichtarza świeczki. – Nie tym razem – powtórzył – bo my nie mamy wojska. Może gdyby był Marszałek...
- W 1920 roku był, żył twój Piłsudski, a się poddał, uciekł jak tchórz do Sulejówka. Gdyby nie generał Rozwadowski i nasi chłopcy w polu, choćby ty, ja, sierżant Stolarski, twój szef – dziś rozmawialibyśmy pewnie gdzieś na Syberii – powiedział Paweł, nie patrząc na niego, delikatnie maczając usta w kieliszku i zapalając pierwszego tego wieczora papierosa.
- Teraz sytuacja jest jeszcze gorsza...
- Nie! Pleciesz Jerzy, pleciesz androny – zimnym szeptem odparł Paweł. – To wtedy sytuacja była beznadziejna: dwa lata po odzyskaniu niepodległości, wymęczony, wykrwawiony kraj, niezgrany, nienawykły do prochu żołnierz, niewielu prawdziwych dowódców, a dali my radu. Z Bożą pomocą, ale dali.

Pognaliśmy bolszewików. Uch, jak uciekali, psubraty, mało ich koni podków nie pogubili!

- No właśnie, niezgrany żołnierz. Wiesz, czemu stary wezwał ciebie w trybie mobilizacyjnym, bez mobilizacji?
- Nie znaju. Myślu sobie, że jutro mi o tym powi.
- On ci jutro spróbuje naopowiadać różne rzeczy, a gadkę ma gładką, ale sytuacja jest prosta. Ci wszyscy lalusie w wypucowanych cholewach – zatoczył palcem niewielki krąg nad stołem – ci wszyscy oficerkowie, synowie oficerów ze sztabu generalnego, co nawet porządnie, za przeproszeniem Paweł, wydymać tych kurewek, obsiadających ich jak stado much świeżego gówna, nie potrafią; ci zmieniający się co pół roku i hyc, czmychający do Warszawy, na wygodne miejsce w Ministerstwie, Sztabie Generalnym lub w Dowództwie Wojsk, nie umieją kompletnie nic. Ile ja już po nich sprzętu się naszukał, nawyciągał, ile razy ratowałem te chude dupy z opresji i rąk prokuratora, gdy w tym czasie w pododdziałach panowało kompletne rozprężenie. Rekrut przychodził głupi i niedojdowaty i wychodził jeszcze głupszy, jeszcze bardziej niedojdowaty, za to zaprawiony w cwaniactwie i w alkoholowych bojach. Ile my pustych litrówek znajdowali po wyjściu rekruta... Ile my mundurów porwanych ze szczętem podobno i spisanych już ze stanu naznajdowali, różnych – szkoda gadać. Przecież my nawet kilka Mauserów znaleźli, które podobno utopiły się w bagnie, gdy jeden z tych geniuszy wojskowości cały batalion piechoty próbował przepuścić przez grzęzawisko, na szczęście dowódca pułku szybko się zorientował i wyrzucił durnia z ćwiczeń, ale to nie wszystko...
- Co ty mi, Jerzy, opowiadasz – Paweł słuchał tego z przerażeniem, ale i nie dowierzając – to przecież prokurator, kryminal, a kto wie, może i pluton egzekucyjny?
- Komu prokurator?, komu kryminal?, komu pluton?! Im nigdy nic się nie stało, włosek z dziecięcej pupci nie spadł, tylko w nagrodę, za służbę w jednostce liniowej, awans poza starszeństwem. A na kompaniach rekrut chlał. Ale ja ci nie dokończył

- my, z moim pomocnikiem, lustrowali kiedyś strych na trzeciej kompanii, tak Paweł, tej twojej!
- Jakiej mojej? – zachnął się, krztusząc się napojem, który trafił w niewłaściwe miejsce. – To nie moja kompania. – Starał się opanować strzelający jak z CKM kaszel. – Ja przecież od siedmiu lat na emeryturze! Ja rolnik!
- Paweł, ty rolnik, i nie rolnik. Ty piechociniec. Kto pozwolił wtedy tobie odejść z armii? Która armia wypuściłaby takiego dowódcę i wychowawcę rekruta, jak ty? Tylko polska. Tylko pod dowództwem tego zakochanego w sobie dupka z generalskim wężykiem...
- Ta, nikt mi nie pozwalał, czy nie! – zdecydowanie przerwał słowotok Kuścickiego. – Sam zdecydował! Dowódca mi nawet awans na kapitana dawał, ja nie chciałem. Anna i córki moi ważniejsi.
- Gdyby cię wtedy dobrze przycisnął, byś został. Gdyby tak naprawdę z tobą rozmawiał, a nie sam ze sobą, będąc już jedną nogą w Warszawie, w Sztabie Generalnym, drzwi w drzwi z Wieniawą-Długoszowskim, nie miałby tego wszystkiego, nie obraż się Paweł, w dupie. Ale ten safandula wtedy szlify generalskie dostał i nic go więcej nie obchodziło, jak te jego pieprzone wężyki na ramionach. Całymi godzinami podobno oglądał siebie w lustrze, baran jeden. Ja myślę sobie, że gdyby wtedy stary cię namówił, to ty byłbyś teraz dowódcą pułku, a nie ten obecny.
- Aj, pleciesz, Jerzy, pleciesz! Z chorążego na podpułkownika, dyplomowanego? Cziepucha. I dosyć jej, bo nie skończył ty opowiadać...
- A, faktycznie. Znów gadam o tym samym. Na strychu trzeciej kompanii znaleźliśmy dwa granatniki przeciwpancerne, które podobno utopiły się w czasie tamtej przeprawy przez bagna. Dasz wiarę? Dwa granatniki i dwie skrzynki granatów, w których brakowało dwóch sztuk. No i zrobił się problem, bo sam wiesz, była komisja, stwierdziła działanie siły wyższej i nakazała zdjąć ze stanu, a jak coś zostanie zdjęte ze stanu armii,

na stan już wrócić nie może. Obecny Stary, niezły z niego gość i żołnierz, ale też zbyt często patrzy, co tam o nim w Warszawie myślą, wściekł się i kazał mi sprawę oddać do prokuratury. Oddałem. A że ta sprawa dotyczyła ukochanego syneczka jednego z najważniejszych generałów w dowództwie wojsk piechoty, szybko ukręcono jej łeb, jeszcze stary reprimendę dostał, że jest idiotą, bo jeśli ktoś przywraca armii jej własność, to on powinien to należycie docenić. A zgubić się ma prawo wszystko, ważne, że się znalazło! O braku dwóch granatów nawet się nie zająknęli. Oberwałem i ja, ale tylko lekko, ot chwilę Stary na odprawie pomarudził, ale skierował do Ministra wniosek o mój awans, no i dostałem.

- Nu ładnie. Ale tak zawsze w armii było! Byli lepsi i gorsi.
- Tak, było. Ale nigdy w takim rozmiarze. Ja jeden wiem, ile dni i nocy poszukiwaliśmy tego i owego, ja jeden wiem, jak trudno było zatuszować kretyńskie decyzje nominatów z Warszawy, którzy nigdy w życiu nie byli w liniowej jednostce, a tu, jak sam wiesz: ostra amunicja, granaty, działa, samochody, konie. I żeby jeszcze coś potrafili lub mieli choć odrobinę honoru oficera! Po którychś ćwiczeniach sztabowych, Stary, widząc co na tych mapach nawyczyniali, tak się wściekł, że w pierwszym odruchu, czerwony z kipiącej złości, już poszukiwał pistoletu, na szczęście go nie miał, po chwili kilku z nich zbeształ od kompletnych idiotów, maminsynków, wojskowych abnegatów i wyrzucił ich z ćwiczeń. I wiesz, co na to jeden z nich? Nie domyśliłbyś się nigdy. Wsunął głowę w drzwi z pytaniem, jaki mundur obowiązuje na gali po zakończeniu ćwiczeń. Gdyby stary miał wtedy broń przy pasie, zastrzeliłby go raz jeszcze.
- Mówię ci, Paweł, degrengolada całkowita. – Wypił kolejny kieliszek wódki, ze zdziwieniem patrząc, że w półlitrowce nie zostało już nic. – Oficerowie nie trzeźwieją, a jak już są trzeźwi – wzajemnie podkładają sobie świnię, byle tylko skończyć przepisowe pół roku na praktyce w jednostce. Ja już ci nie będę mówił, ile razy patrol żandarmerii sprowadzał awanturującego się i wymachującego naładowaną bronią gołowąsą, który po przetrzeźwieniu w anclu, zabierał dupę w troki, i nie zatrzymywany przez

nikogo, jechał dalej pić do Ziemiańskiej, Adrii, Kongresowej czy Metropolu. Nic mu nie zrobili, bo tatuś jest generałem w dowództwie piechoty. Widzieli to podoficerowie, zaczęli robić to samo i zawsze przed sądem w koszarach mówili, że skoro wolno młodym oficerom, to wolno i im. I jeśli tylko kogoś nie zabili – sąd ich uniewinnił. Rozumiesz Paweł? Ale jest jeszcze gorzej, bo jest jeden, uniwersalny wytrych, wystarczy, że zaśpiewali „Pierwszą Brygadę” i każdy sąd walił młotkiem w stół z wyrokiem: „Niewinny!!!”.

- Co ty mówisz, Jurek?
- Ci, co byli lub twierdzą, że byli, bo kto by to sprawdzał, w Pierwszej Brygadzie, są nie do ruszenia. A wiesz, że u nas takich nie brakuje. Ich dowódcy z pierwszej, drugiej czy trzeciej kadrowej obsadzili wszystkie najważniejsze stanowiska w Polsce i stamtąd rządzą nawet nie kryjąc się z tym, że są nietykalni. Ty wiesz, że ta gnida, Kostek Biernacki, ten siepacz Marszałka, jest teraz wojewodą poleskim, chodzą słuchy, że będzie ministrem? Ten morderca generała Ostoi-Zagórskiego ministrem?¹ Ale tak jest ze wszystkimi. Rydz – Śmigły, wojskowy dyletant, został Marszałkiem Polski, ten birbant i hulaka Wieniawa-Długoszowski, zausznik i powiernik Marszałka, miesza w wojsku, nie mając o niczym zielonego pojęcia. Beck, pułkownik Legionów, jest ministrem spraw zagranicznych, pożał się Boże. W wojsku całkowite rozprężenie, nie tylko u nas Pawle, wszędzie piją wódę, grzmocą baby, pędzają na konikach z szabelkami...
- Nu jak to? Nu ułani jeżdżą na koniach!
- Paweł, Niemcy budują czołgi, samochody, samoloty. Dużo ich budują. Niemcy budują ciężkie działa, mają wysmienitą broń, a co my mamy?
- Piechocińcowi, jak trzeba, wystarczy łopata.
- O nie, Paweł, nie dziś. Słyszał ty o takiej książce: „Achtung Panzer!” Heinza Guderiana?²

¹ Zob. Andrzej Ceglarski, *Sprawa Generała Zagórskiego. Zabójstwo prawie doskonałe*, (2016).

² Heinz Guderian, *Achtung Panzer!* (1937).

- Nie słyszał!
- Nowoczesna wojna to wojna błyskawiczna. Tak pisze ten teoretyk czołgów i ma rację. Oni jak uderzą, to będzie ciężki cios, po którym jak się cofniemy – to już nas rozdepczą. A w tym czasie u nas hoduje się koniki, na których tak malowniczo wyglądają nasi. „Ułani, ułani, malowane dzieci, niejedna pannieńka, za wami poleci” – zaśpiewał pod nosem.³
- Pleciesz, Jerzy – powiedział Paweł. – Wystarczy tylko dobrze się okopać, głęboko i zmyślnie, by zatrzymać każdy tank, każdy armatu, każdy automobil. Każdy.
- To prawda, ale tylko wtedy, gdy będziesz miał na to czas, gdy wojsko będzie najedzone będzie miało mundury, karabiny, łopatki, noże, bagnety, a przede wszystkim będzie trzeźwe i będzie wiedziało, o co walczy. Przecież ci durnie zarzucili nawet naukę czytania i pisanie u rekruta, pieniędzy podobno na to nie ma, a trzech na dziesięciu z nich to analfabeci. Brakuje twojej Anny, te inne, aj tam – machnął z rezygnacją ręką – szkoda gadać. Sromota i nędza. I po to ciebie Stary wzywa, Pawle.
- A ty odkuda znajesz? – Zaciekawiał się Paweł.
- Wiem. Stary mi ufa. Stary ze mną więcej rozmawia, niż z szefem sztabu. Stary też piłsudczyk...
- Ale ty znajesz, ja nie piłsudczyk, ja dowborczyk!⁴
- Ale ty swój, Paweł! Ty, jako i my wachał proch, własnym życiem ryzykował, żeby ten kraj... – Kuścicki wyraźnie się nakręcił, mówił coraz głośniejszymi gestykulując – ...był, żył, istniał. Ilu przyjaciół ty utracił w okopach?
- Wszystkich – powiedział cicho Paweł. – Ostatniego Kostusia odprawił ja do naszego Boga, ja nie potrafił nijak do jego Allacha modlitwy zmówić.

³ Polska pieśń wojskowa anonimowego autorstwa, powstała w XIX wieku.

⁴ Sformowany 24 lipca 1917 roku I Korpus Polski w Rosji pod dowództwem generała Józefa Dowbora-Muśnickiego, który szedł do Polski od wschodu.

- Ja też wszystkich! – wrzasnął Kuścicki i wałnął pięścią w stół. – A teraz ta swołocz, te maminsynki, te picusie w odprasowanych przez służące mundurach, którzy pierwsi uciekną pod maminią spódnicę, jak zobaczą Niemców, wcześniej srając na rzadko w portki ze strachu, rozpieprzają to, o co tak ciężko walczyliśmy. Ci nasi leżą tam, gdzieś na polach i łąkach, dziś nikt już o nich nie pamięta, nikogo już nie obchodzi, że oddali życie za ten kraj. Jakby ich nigdy nie było... – Zawiesił na chwilę głos, wypił resztkę wódki, która jeszcze mu została w szklance, Paweł zamoczył usta w kieliszku. – Jakby się nigdy nie urodzili, nie mieli matek, żon, dzieci, jakby ich życie było warte tyle, ile ta flaszka po gorzale. – Grzmotnął butelką o stół, aż znów zrobiło się na chwilę ciszej. A ci... – Po chwili beczelnie i twardo rozejrzał się na prawo i lewo. – ...to co, w bój pójść? Strzelać będą? Oddadzą życie, gdy trzeba będzie? Nie oni. U nich najważniejsze jest się nachlać na koszt tego państwa, naszego państwa, prawda panie poruczniku? – krzyknął do siedzącego dwa stoliki dalej klasycznego gołowąsa, któremu dopiero puściły się pierwsze włoski na brodzie.
- Tak jest panie majorze! – Tamten wstał, obciągnął mundur, strzelił obcasami, schylił głowę. – Proszę o pozwolenie na zajęcie miejsca.
- Zajmijcie. I widzisz, Paweł? Za naszych czasów już byłby sekundant, już byłyby ustalane warunki pojedynku, bo oficer to znaczyło honor, a ten, miękkim fiutem robiony, zapytał tylko, czy może usiąść!
- Ta, przesadzasz Jerzy. – Paweł wyciągnął kolejnego papierosa, poczęstował Kuścickiego, ten pokręcił głową. – Aż tak źle nie może być. Nam zawsze wydawało się, że jest tak podle, tak sromotnie, że nic tylko sobie w łeb strzelić, ale później, w polu, okazywało się...
- No co się okazało? Co? – agresywnie napadł go Kuścicki. – Paweł, dziś nic się już nie okaże! Dziś na jednego naszego żołnierza przypada dwóch niemieckich, na jeden nasz czołg przypada sześć i pół niemieckiego, na jeden nasz samolot pięć niemieckich, na jedno nasze działo dwa i pół niemieckiego.

Przecież oni wyraźnie szykują się na taką wojnę, jaką opisał Guderian. A co robią nasi spece? Chleją wodę. Posuwają baby. Wjeżdżają na koniach do Bristolu w tej swojej Warszawie.⁵ I szeroką ławą rozwijają wojska konne, zwane ułanami. Jak Sowietci. Generał Ostoja-Zagórski miał pomysł na wojska aeronautyczne, nowoczesne, to go jeszcze w 1927 roku zabili, sukinsyny. Teraz to ani to wojska, ani aeronautyczne. Te kilka Karasi, które u nas w Lidzie, w 5 Pułku Lotniczym stoją? To jakiś żart? A powiedz mi, Paweł, jak ułan ma walczyć z tankiem? Strzeli do niego z mauzera i pociągnie szablą? To jest nawet facecyjne, tylko mi nie jest do śmiechu.

- Ja myślę – Paweł długo i starannie gasił papierosa – że ty jednak przesadzasz, Jerzy. Aż tak źle nie może być! – powtórzył, choć już nie tak przekonany, jak wcześniej. – Bywało gorzej – dodał z uporem piechocińca – a i tak w polu dawaliśmy sobie radę. Tank nie tank, działo nie działo, dobry piechur, okopany i zaopatrzony będzie bronił się długo, oj jak długo...
- Chciałbym mieć twój optymizm, Paweł!
- Nu tak, u ciebie racja. Nie musi aż tak długo. Anglia i Francja nas obroniut.
- Masz złudzenia?
- A co to za kalambur jaki, a?
- Wierzysz w te zapewnienia Anglii i Francji?
- Wierzu. A czemu miałbym nie wierzyć, a?
- Ja im nie wierzę. Nas zawsze zostawiali samych.
- Słyszał ja w radio – tak, w Koszelewie u nas radio, takie duże, z sześcioma lampami, ho, ho, superhenortodyna⁶, „Telefunken”. Ile ja za nie zapłacił, o Matko Boska... – że Anglia i Francja z nami podpisały umowę. Międzynarodową. Że nas obroniu, jak Hitler na nas ruszy.

⁵ Słynny wyczyn generała Wieniawy-Długoszowskiego, znanego birbanta, awanturnika, poety, pisarza i adiutanta Piłsudskiego.

⁶ Bardzo wysokiej klasy sprzęt w tamtych czasach.

- No niby ta umowa jest, ale ja jej jakoś nie dowierzam. Zawsze się na nas wypinali.
- Zawszy nie znaczy, że teraz zostawiut. U mnie jest czterdzieści siedem roków, lat – poprawił się, pomny na to, co zawsze mówiła Anna. – Ja brał udział w dwóch wojnach, u mnie odznaczenia – przesunął ręką po miniaturkach medali i krzyży – u mnie blizny po kulach i bagnecie, u mnie słabe płuca, okopy je zniszczyły, tak mi powiedział doktor w szpitalu, i właśnie dlatego ja nie chciał już służyć w wojsku, w piechocie, ja nie chciał już szkolić rekruta, nie chciał już strzelać, zabijać, kłuć bagnetem, dygotać z zimna w namiocie czy pod pałatką. Ja miał już dość wojaczki, żołnierki. Ale nadal wierzu, że jest honor człowieka, który jak coś obieca i jak już podpisze – wtedy umarł diabeł – dotrzyma. I teraz też tak budzie, Anglia i Francja dotrzymają obietnicy, bo przecież co to dla Francji jest jakiś Hitler? Szast prast i zginie go jak wesz, jak pluskw! Tak sobie myślę.
- I obyś miał rację. Ale swoje nosisz, nikogo nie prosisz. – Kuścicki jednym haustem dopił resztę kawy, którą wcześniej przyniósł pikolak, strzelił z palców, natychmiast zjawił się kelner z rachunkiem, nad którym Kuścicki chwilę powydziwiał, że drogo, ale wyciągnął pugilares, zapłacił i po dociągnięciu mundurów obaj wyszli na dwór.

Była ciepła lipcowa noc. Rozgwieżdżone niebo, poprzecinane srebrnymi nitkami spadających meteorów, wydawało się, że wisi nad dachami domów, nad koronami drzew, nad sterczącą dumnie wieżą kościoła i niedaleko niej ażurową konstrukcją wojskowej anteny. Paweł zapalił papierosa i milcząc stał, wypuszczając w ciepłe, wilgotne powietrze, kłęby niebieskiego dymu. Zza drzwi, gdzie grał niezły kwintet jazzowy, dochodziła przytłumiona muzyka, jakiś charleston, dobiegały rozmyte, a więc będące nierozróżnialną falą, odgłosy rozmów. Czasem przez ten szum przebił się wysoki, perlisty śmiech którejś z kobiet, czasem ktoś uderzył pięścią w stół, aż dzwoniły talerze i widelce, czasem ktoś, w pijackim widzie, rozdarł się na głos: „Hej dziewczyno, hej niebogo,

jakieś wojsko pędzi drogą”.⁷ W pewnym momencie otworzyły się drzwi i dwóch roślących dryblasów wyrzuciło na trawnik przed wejściem jakiegoś oficera, tak pijanego, że nie mógł się z tego trawnika podnieść. Kuścicki, gdy Paweł wzrokiem pokazał mu tego biednego chłopca, co kilka razy próbował stanąć na własnych nogach, ale zawsze sumiennie padał twarzą w trawę, wzruszył tylko ramionami:

- Co to ja mamka–niańka? Może jeszcze mam mu pieluchę założyć? – Skinął głową na krocze młodzieńca, na którym wykwitła ciemna plama. – Zaraz zjawi się patrol żandarmerii, oni będą wiedzieli, co zrobić.
- Jerzy, bój się Boga! Kiedyś to było nie do pomyślenia! Każdemu oficerowi zdarzyło się być w takiej sytuacji, ale zawsze mu się pomagało. Podoficerowi zresztu też. I mnie się zdarzało, jak umarła Wiktoria, ale zawsze gdzieś był Stolarski, Lubaszko, Kamiński, Makronko, Lamparski, Puchowiec, Januszajtis, byłeś ty. Wy brali mnie pod pachu, nakładli po mordzie ile trzeba i wieźli dorożku do domu. Na, a ile razy ja ciebie pod pachu brał, zabierał pistolet, żeby ty głupstw nie narobił...
- To już nie te czasy, Paweł!
- Nie? A gdzie żołnierski honor? Gdzie soli... suli... solidurność...
- Solidarność?
- Ano!
- To se weź i poszukaj! Dziś my zabierzemy tego smarka w obszczanym mundurze, jutro on podpieprzy nas do Starego, że go albo pobiliśmy, albo schlaliśmy, albo okradliśmy. To największa gnida, zakała stanu oficerskiego, to adiutant Starego.
- Ale oficer! – Paweł starannie zgasił niedopałek.
- Nie. To nie jest oficer. To menda. Chodź, Paweł, czeka taksówka, pojedziemy do mnie, jutro te manewry u Starego. Ja już muszę się położyć. A tym siurkiem się nie przejmuj, da sobie radę!

⁷ Piosenka pt. „Maki” do słów Kornela Makuszyńskiego i muzyki Stanisława Niewiadomskiego, bardzo wtedy popularna w kręgach legionowych.

Siedzący bezradnie na ziemi, wysoki, szczupły porucznik z porzpinaną bluzą munduru, z przerażonym wyrazem twarzy, kiwając się bezładnie na boki, zupełnie jawnie majstrował koło guzików rozporka. Był jednak tak pijany, że nie mógł sobie poradzić z rozpięciem go, więc w pewnym momencie ustąpił, machnął z rezygnacją ręką, na chwilę uspokoił kiwanie i wtedy na jego dziecięcą, niemalże twarz cherubinka, wypłynął wyraz ulgi, a Paweł zauważył, że widoczna w świetle gazowej latarni ciemna plama przy rozporku zaczęła się gwałtownie powiększać, sięgając obu kolan. Po chwili młodzian bezładnie zwałił się na prawy bok, zasikane nogi podciągnął do klatki i po chwili spał, głośno chrapiąc.

- No zobacz – powiedział Kuścicki, otwierając drzwi automobilu, który właśnie podjechał – znów się zeszczał. My nie musimy nic robić, zjawili się tacy, co zrobią, co trzeba, może nawet brudne gacie mu zmieniają?

Dwóch roślących żandarmów z posterunku przy 5 Pułku Lotniczym właśnie zajęło się śpiącym porucznikiem, który przebudzony, w pijackim widzie, próbował wymachiwać rękoma, ale został natychmiast spacyfikowany, zakuty w kajdanki, wprawnie podniesiony do góry razem z czapką i pasem, które leżały obok niego na ziemi, i przy całkowitym braku delikatności wrzucony do służbowego, dużego, okratowanego auta z napisem: „Żandarmeria”. Samochód po chwili cicho ruszył, słychać było tylko wrzaski uwięzionego w budzie, który próbował kopniakami otworzyć ciężkie, masywne drzwi.

- Popatrz Paweł, dokąd jadą. – Kuścicki wyciągnął rękę w kierunku majaczących w sporej odległości tylnych świateł więźniarki. – Nie jadą na posterunek, jadą do mieszkania tego picusia, psiakrew. Taksówkę sobie znalazł. I niańkę. Ale jak się ma ojca dwugwiazdkowego generała...

[***]

- Panie pułkowniku. – Młody porucznik nachylił się do zgiętego w pół mężczyzny. – Zameldował się chorąży Sienkiewicz.
- A to dawać go tu! – powiedział siwy, szczupły mężczyzna, nie odrywając wzroku od rozłożonej wielkiej, sztabowej mapy, na